

Za co kochamy Mundial?

20 czerwca 2018

Pokolenie urodzone w latach 1980. nie miało szczęścia. Sukcesy polskiej reprezentacji znali tylko z opowieści swoich rodziców, sami przeżykając co jakiś czas gorzką pigułkę dziecięcego zawodu. Mimo to Polacy nadal kochają Mundial, a wielu z moich rówieśników ponownie – z dużą dozą naiwności – utkwii przed ekranem.



Działo się to w czasie studiów. Co jakiś czas umawiałem się z jednym z moich przyjaciół na wspólne oglądanie piłki. El Clásico, finały Ligi Mistrzów, występy reprezentacji stanowiły nieodłączną okazję do spotkania. Ilekroć siadaliśmy przed ekranem, tylekroć odwiedzał nas jego ojciec. Patrzył przez chwilę, potrząsał głową, a następnie snuł przez pewien czas tyrady o tym, jak polscy piłkarze grali za Deyny, Bońka i Łaty. Trochę to nas bawiło, a trochę denerwowało. Denerwowało, bo pokolenie urodzone w latach 80. futbol rozumie jako radzenie sobie z bezustanną goryczą porażki.

Dla nas Boniek czy Lato pozostawali jedynie historią, wspomnieniem, którego nie było nam dane skosztować. Gdzieś w głębi serca zazdrościliśmy naszym rodzicom, że dorastali w czasach, kiedy grając na podwórku z dumą rozdzielali między

sobą nazwiska polskich graczy. U nas królowały koszulki Holandii, Francji, czy Niemiec. Polska kojarzyła się głównie z kolejnymi „gorzkimi pigułkami”. Jest po drodze co prawda wspomnienie Igrzysk w Barcelonie, ale przeglądając dziś „potęgi”, z jakimi przyszło nam się wówczas spotkać, jakoś łatwiej zrozumieć ten srebrny medal (były to: Kuwejt, Włochy, USA, Katar, Australia i Hiszpania).

W gruncie rzeczy przyzwyczailiśmy się do tego, że piłka – choć pozostaje sportem narodowym – to przynosi więcej zawodu niż radości. Okazjonalne przebłyski w europejskich pucharach czy w grze reprezentacyjnej nie mogły tego zmienić. Nadzieja była chyba tylko raz, w 2002 roku, kiedy po 16 latach Polska w niezłym stylu awansowała do kolejnego Mundialu. Ten jednak okazał się esencją naszego doświadczenia. Wielkie nadzieje zakończone wielkim wstydem, który po latach – jak wynika z relacji zawodników – dla nich był zupełnie do przewidzenia.

Dlatego zasiadając do tegorocznych mistrzostw w zasadzie zastanawiam się, po co od lat uprawiam ten piłkarski masochizm wierząc w coś, w co doświadczenie wierzyć nie pozwala? Być może na wyobraźnię działa ostatnie Euro, które rozbiło szklany sufit trzech meczów (otwarcia, o wszystko, o honor), a może ponownie wraca naiwne pragnienie własnych wspomnień o futbolowych herosach.

Mistrzostwa Świata w Piłce Nożnej to chyba jedno z ostatnich w tym sporcie „miejsc”, gdzie marzenia mogą stać się faktem. Piłka, którą pamiętają nasi rodzice i ta, którą my żyjemy dziś, znacznie się zmieniła. W piłce klubowej nie ma w zasadzie co liczyć na większe niespodzianki. Dysproporcje finansowe pomiędzy drużynami są tak ogromne, że hierarchia w światowych rozgrywkach wydaje się być ugruntowana. Absurdalne i głęboko niemoralne kwoty latają nad naszymi głowami uświadamiając, że takie niespodzianki jak 3:3 Legii z Realem to co najwyżej wypadki przy pracy, które są jedynie epizodem w coraz nudniejszych rozgrywkach.

Gdyby Marks żył we współczesnym świecie, teorię kumulacji kapitału mógłby bez większych problemów tłumaczyć na podstawie świata futbolu. Wskazałby grupę hegemonów, którzy organizacyjnie i finansowo odstają od innych i robią wszystko, aby wąskiej elity nie naruszyć. Oni stają się wyznacznikami karier, Midasami zamieniającymi przeciętnych graczy w złoto. Taka piłka jest coraz mniej fascynująca.

Inaczej jest w piłce reprezentacyjnej. Choć pewnie zwycięzca samych Mistrzostw wyłoniony zostanie z mniej więcej stałego grona, to niemal każdy Mundial kończył się niespodzianką. Pierwsze zawody, które pamiętam, to rok 1994 i wspaniała gra Szwecji czy Bułgarii, a także niezły występ Rumunów. Dwa lata później angielskie Euro i rewelacyjna postawa Czechów. 1998 to z kolei niezwykły rok Chorwatów, a 2002 Turków czy Senegalczyków (wspomaganych przez sędziów Koreańczyków nie warto tu wspominać).

Mundial uczy, że każdą hierarchię da się naruszyć, że teoretycznie najlepsi mogą skończyć rozgrywki na pierwszej rundzie, że zwycięstwa nie da się po prostu okupić dużymi pieniędzmi, czy piłkarskimi tradycjami. Taki Mundial da się kochać, bo ciągle tworzy nadzieje, że może akurat tego roku szczęście uśmiechnie się do nas, wypełniając puste miejsce wryte w naszym piłkarsko nieudanym dzieciństwie.

Gdzieś w tle tego wszystkiego rodzić się będzie jednak myśl, że i ten fragment futbolowego świata zmierza nieuchronnie w otchłań. Absurdalne pomysły pompowania liczby uczestników, co wpłynie na jakość formuły rozgrywanych spotkań, rozgrywanie mistrzostw w krajach, w których aura nie sprzyja wysiłkowi fizycznemu, czy wreszcie uzależnienie sportu od dyktatorów, którzy na tej dyscyplinie budować chcą społeczne poparcie i zasłaniać niedomagania swoich udzielnych księstw sprawia, że piłkę ogląda się coraz mniej chętnie. Na końcu pozostaje jedynie nadzieja, że i moje pokolenie zasłuży wreszcie na własne wspomnienia.

Autorstwo: Sebastian Adamkiewicz

Zdjęcie: Paweł Cieśla (CC BY-SA 4.0)

Źródło: Histmag.org

Licencja: [CC BY-SA 3.0](https://creativecommons.org/licenses/by-sa/3.0/)